

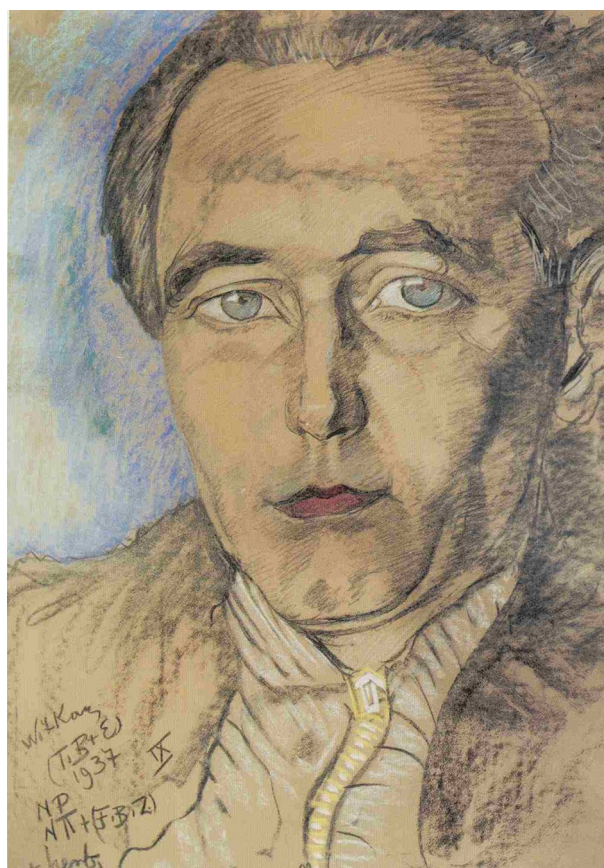


Z okazji roku Romana Ingardena (1893–1970)

JAN WOLEŃSKI

Gdy ukazał się *Spór o istnienie świata* (t. 1, 1947; t. 2, 1948) – najważniejsze dzieło Ingardena, jeden z recenzentów napisał (w duchu ówczesnych czasów): „mieszka kilka kilometrów od Nowej Huty i pyta, czy świat istnieje”. Ingarden z humorem wspominał o tym zarzucie, powiadając, że tzw. argument z praktyki nie jest konkluzywny, a ponieważ problem wymaga głębokiej i fundamentalnej analizy, postanowił poświęcić mu obszernie rozważania i poddać gruntownej analizie. Dodatkowym powodem było to, że pogląd Ingardena był radykalnie przeciwny do żywnego przez Edmunda Husserla, jego ukochanego nauczyciela, który opowiadał się (zwłaszcza w późniejszych swych poglądach) tzw. idealizmowi transcendentnemu, tj. tezie (z grubsza rzecz ujmując), że świat realny jest korelatem świadomości transcendentnej. Ingarden polemizował ze swym mistrzem i najpełniej wyraził swoje poglądy w *Sporze*, o którym o. Józef M. Bocheński powiedział kiedyś, że jest to najważniejsze dzieło metafizyki europejskiej od czasów Arystotelesa. Można traktować tę opinię jako uzasadnienie nazwania Ingardena – filozofem świata realnego. Dodam, że Ingarden zajmował się (z filozoficznego punktu widzenia) tym światem niemal do ostatniego dnia swego życia. Trzeci tom *Sporu* – dotyczący przyczynowości, ukazał się pośmiertnie w 1974 r. po niemiecku (wyd. polskie, 1981).

Roman Witold Ingarden urodził się 5 lutego 1893 r. w Krakowie. Jego ojciec, Roman Kajetan, był wybitnym inżynierem hydrotechnikiem (jednym z jego dzieł był ogólny plan regulacji Wisły). Ingarden junior zdał maturę w jednym z lwowskich gimnazjów, po czym w 1911 r. zapisał się na filozofię na Uniwersytecie Lwowskim; studiował też matematykę. Po niespełna roku przeniósł się do Getyngi, gdzie kontynuował studia filozoficzne u Husserla i matematyczne (m.in. słuchał wykładów Dawida Hilberta). W roku akademickim 1914/1915 przebywał we Wiedniu, biorąc udział w działalności emigracyjnego środowiska naukowego, m.in. współpracował z Kazimierzem Twardowskim (Uniwersytet Lwowski działał w tym czasie w stolicy Habsburgów). W 1916 r. wrócił do Niemiec, do Fryburga Bryzgowijskiego, dokąd przeniósł się Husserl. Ingarden napisał pod jego kierunkiem doktorat o intuicji i intelekcie u Bergsona, który obronił w 1918 r. Po zakończeniu I wojny światowej wrócił do Polski – pracował jako nauczyciel gimnazjalny m.in. w Warszawie i Toruniu. W 1924 r. habilitował się we Lwowie na podstawie rozprawy *O pytaniach esencjalnych*. Otrzymał *veniam legendi*, rozpoczął wykłady na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W 1931 r. wyszła jego książka *Das literarische Kunstwerk* (O dziele literackim), która bardzo szybko zdobyła znaczne uznanie międzynarodowe. Dwa lata później został profesorem filozofii na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Gdy wojska radzieckie zajęły Lwów, a uniwersytet przyjął nazwę Iwana Franki, Ingarden został przeniesiony do Katedry Germanistyki. W latach 1942–1944 uczył matematyki w zawodowej szkole dla Polaków – uczestniczył także w tajnym



Portret Romana Ingardena, autorstwa Witkacego (1937 r.)

nauczaniu uniwersyteckim. W 1946 r. został profesorem UJ. W 1950 r. władze odsunęły go od wykładów – wrócił na UJ w 1957 r.; w międzyczasie przetłumaczył *Krytykę czystego rozumu* Kanta na język polski. Przeszedł w stan spoczynku w 1963 r. Zmarł 14 czerwca 1970 r. w Krakowie.

Ingarden aktywnie uczestniczył w krajowym i międzynarodowym życiu filozoficznym. Uważał, że filozofia polska powinna szerzej prezentować się na forum międzynarodowym i w tym celu zainicjował starania o wydawanie w Polsce pisma w językach obcych. Tak powstał periodyk „Studia Philosophica” (t. I, 1936; t. II, 1937; t. III, specjalnie datowany 1939–1946; t. IV, 1951) – nazwisko Ingardena figuruje w redakcjach wszystkich tomów. Po wojnie współredagował (z Zygmuntem Zawirskim) „Kwartalnik Filozoficzny”, wydawany przez PAU, wychodzący do 1950 r. (został wznowiony w 1992). Zmierzał do stworzenia w Polsce ośrodka fenomenologii. Okres jego profesury

► we Lwowie był zbyt krótki, aby zrealizować ten zamiar. Niemniej jednak znalazł współpracowników w osobach Eugenii Ginsberg-Blaustein i Leopolda Blausteina, uczniów Twardowskiego (oboje zginęli w getcie lwowskim). Jego uczennicami przedwojennymi były m.in. Zofia Lissa i Stefania Łobaczewska – obie zostały po wojnie profesorami muzykologii. Z powojennych uczniów (lub osób pozostających pod silnym wpływem Ingardena) trzeba wymienić m.in.: Danutę Gierulanę, Marię Gołaszewską, Andrzeja Póltawskiego, Władysława Stróżewskiego, Józefa Tischnera, Adama Węgrzeckiego i Karola Wojtyłę (prowadził pogrzeb Ingardena). Przerwa w aktywności dydaktycznej Ingardena w latach 1950–1957 sprawiła, że jednak nie stworzył w Polsce zwartej szkoły fenomenologicznej, aczkolwiek nasz kraj stał się ważnym ośrodkiem badań w tym obszarze myślowym. Z drugiej strony, jego wpływ na kształt powojennej filozofii polskiej jest niezaprzeczalny i zaznaczył się nie tylko we wszystkich nurtach filozoficznych obecnych w powojennej Polsce (np. w filozofii analitycznej, katolickiej czy marksistycznej), ale także w całej humanistyce, np. w teorii literatury i historii sztuki. Ingarden był członkiem m.in. PAU, PAN i Międzynarodowego Instytutu Filozofii w Paryżu. Brał udział w wielu światowych kongresach filozoficznych – jego odczyt na kongresie w Pradze w 1934 r. stał się sławny z uwagi na krytykę Koła Wiedeńskiego, wykladał w wielu krajach i uniwersytetach – jego wykłady o fenomenologii Husserla przedstawione w Oslo w roku 1967 były sensacją i ich słuchacze do dzisiaj szczerzą się uczestnictwem w tym kursie. Dorobek pisarski Ingardena jest olbrzymi – (uwzględniając różne wydania i przekłady) 80 książek, 300 artykułów i 378 drobniejszych prac. Jego dzieła wyszły po polsku, niemiecku, angielsku, rosyjsku, francusku, włosku, norwesku, portugalsku, szwedzku, serbsko-chorwacku, hiszpańsku, japońsku i czesku. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Roman Ingarden stał się jednym z najbardziej znanych filozofów polskich w skali międzynarodowej.

Ingarden podzielał metodologiczne postulaty Husserla. Filozofia ma być nauką teoretyczną, analizującą istotę fenomenów (stąd nazwa tego kierunku) i ustalającą konieczne związki pomiędzy nimi. Fenomenolodzy wierzą, że takie badania są możliwe, m.in. dzięki specjalnej metodzie, zwanej redukcją fenomenologiczną, polegającą na zawieszeniu wszelkich sądów przygodnych, tj. dotyczących akcydentalnych własności zjawisk. W szczególności fenomenolog ma zawiesić wiedzę naukową, w tym logiczną i matematyczną – jest to warunkiem ujęcia fenomenów takimi, jakimi są. Filozofia ma być bezzależniowa, bo tylko wtedy uchwyci to, czym jest świat (przedmiot poznania) i jaki jest. Husserl i jego uczniowie twierdzili, że tak rozumiane doświadczenie jest osiągalne i tylko ono gwarantuje spełnienie zadań, które zawsze stawały przed tzw. filozofią pierwszą. Taka była ogólna rama metodologiczna fenomenologii, ale była rozmaicie wypełniana, inaczej przez realistów jak Ingarden i wczesny Husserl, inaczej przez transcendentalistów, jak późny Husserl i Martin Heidegger; np. Ingarden uważał, że filozofia winna pozostawać w kontakcie z naukami szczegółowymi, choćby fizyką (Roman Stanisław, syn filozofa był fizykiem i obaj dyskutowali rozmaite kwestie) czy psychiatrią (Ingarden przyjaźnił się z Anonim Kępińskim i odwoływał się do jego badań nad świadomością ludzką). Fenomenologia była w opozycji do takich kierunków filozoficznych, jak pozytywizm, materializm czy psychologizm. Ingarden nie uważał marksizmu za filozofię, ale za światopogląd, a ponieważ filozofia ma być wypreparowana z treści ideologicznych, ten kierunek nie interesował go zbytnio. Był gotów współpracować z marksistami, ale w filozofii, w jego rozumieniu. W samej rzeczy dopóki Ingarden kierował studiami filozoficznymi, studenci prawie nie mieli wykładów z marksizmu.

Ingarden swoją działalnością naukową i dydaktyczną objął cały zakres filozofii, tj. jej historię, logikę, epistemologię, metafizykę, ontologię, etykę i estetykę. Jak już wspominałem,

Spór o istnienie świata, opus magnum Ingardena, uchodzi za jego najważniejsze dokonanie w filozofii teoretycznej. Wszelako jest najbardziej znany w świecie dzięki swoim analizom literatury, zwłaszcza książce *O dziele literackim*. Przedstawił w niej wielowarstwową koncepcję struktury utworu, która weszła do klasyki teorii i filozofii literatury. Szczególnie ważna jest teza, że warstwa językowa dzieła kreuje tzw. świat przedstawiony, który nie jest realny, ale intencjonalny. Ingarden zajmował się też dziełem architektonicznym, filmowym, malarskim, muzycznym i widowiskiem teatralnym – sam był zresztą z zamiłowania fotografikiem i wiele jego fotografii ma wyraźny walor artystyczny. Być może tak szeroki dorobek w dziedzinie teorii i filozofii sztuki sprawił, że przede wszystkim uchodzi za estetyka. To jednak wrażenie niezupełnie trafne, zważywszy na całokształt jego dorobku. Skoro jednak jestem przy aksjologii, to trzeba podkreślić, że Ingarden stał na stanowisku obiektywności wartości i ich absolutności, przynajmniej w zakresie podstawowych. Idee te wyraził w popularnej *Książeczce o człowieku* (1972).

Jakim człowiekiem był Ingarden? Dla wielu – dość autokratycznym, nie lubiącym sprzeciwu w sprawach filozoficznych. Z drugiej strony, miał duże poczucie humoru. Do historii przeszło jego powiedzenie, że człowiek w PRL składa się z duszy, ciała i paszportu. W roku akademickim 1962/1963 prowadził ostatnie seminarium. Zazwyczaj sam wyznaczał tekst do analizy, ale tym razem poprosił uczestników, aby coś zaproponowali. Józef Lipiec rzekł: „Może *Dialektykę przyrody* Engelsa?”. Ingarden skrzywił się, że to dzieło niedokończzone, a więc nie wiadomo, czy zawiera autentyczne poglądy autora, ale zaraz dodał: „Pamiętam, jak prof. Ajdukiewicz, chcąc iść z duchem czasu, rozpoczął we Lwowie w 1939 r. ze swymi studentami analizę książki Lenina *Materializm a empiriokrytycyzm*. Ponieważ robił to tak, jak zwykł był czynić z każdym dziełem filozoficznym, po tygodniu został docentem na Wydziale Medycznym i uczył tam fizyki”. Pewnego razu do Krakowa przyjechał Czesław Znamierowski i wygłosił odczyt. Komentował m.in. zasadę powszechnej życzliwości, źródło etyki w jego rozumieniu. Podał taką ilustrację: „Pewien Jan ma żonę Marię, już spracowaną kobietę w średnim wieku oraz przyjaciółkę, śliczną i młodą Laurę. Może spędzić wakacje z Marią albo pojechać z Laurą na Hawaje. Cóż dyktuje zasada powszechnej życzliwości? Oczywiście, pozostanie z Marią” – rzekł Znamierowski. „Ale dlaczego?” – dał się słyszeć z tyłu głos Ingardena. Znamierowski był oburzony – „Romanie, jak możesz”. Ingarden niewzruszony spokojnie odpowiedział: „Drogi Czesławie, naprawdę nie podałeś powodów, dla których Jan winien tak właśnie postąpić”. Spór został jakoś załagodzony, ale opisane zdarzenie pokazuje, iż Ingarden bywał czasem dość frywolny. W 1961 r. odbyło się w Zakopanem ogólnopolskie seminarium studentów filozofii. Przyjazd Ingardena na nie był prawdziwym wydarzeniem. Zaprosił krakowskich uczestników do jednej z ekskluzywnych restauracji zakopiańskich (chyba do „Jędrusia”) na kawę, wino, ciastka i koniak. Ingarden tryskał humorem i był ukontentowany towarzystwem młodzieży, szczególnie urodziwych dziewcząt, wśród których Joanna Piasecka (jedna z córek Jerzego Turowicza) błyszczała prawdziwą pięknnością. Okazało się, że ten wielki profesor potrafił być najzwyczajniej zwyczajny.

Ingarden pozostawał w opozycji do szkoły lwowsko-warszawskiej, innego ważnego nurtu we współczesnej filozofii polskiej. Jego stosunki z czołowymi przedstawicielami tej formacji były nawet dość napięte. Leszek Kołakowski opublikował w 1966 r. książeczkę *Filozofia pozytywistyczna. Od Hume'a do Koła Wiedeńskiego*, w której uznał szkołę lwowsko-warszawską za część logicznego empiryzmu. Ingarden przeczytał tę rzecz i z oburzeniem powiedział, że tak nie można, bo ta szkoła była oryginalnym polskim wkładem do filozofii światowej. Warto takie postawy przypominać w obecnych burzliwych czasach.

JAN WOLEŃSKI

Spółeczeństwo obywatelskie w nauce?

Przypadek Towarzystwa Naukowego Warszawskiego

Część I

Postępuję się praktyczną definicją społeczeństwa obywatelskiego, związaną z intuicyjnym rozumieniem tego terminu jako odnoszącego się do aktywności społecznej w tzw. trzecim sektorze¹. W takim ujęciu niezwykle zaniechaniem w rozwoju naszego państwa w okresie minionego 30-lecia po odzyskaniu pełnej niepodległości jest, w moim przekonaniu, kwestia społeczeństwa obywatelskiego. Tworzone jest ono na zasadach woluntarystycznych przez samych obywateli, ale organizacja państwa, a więc sektor publiczny, ma tu zasadniczą rolę do odegrania poprzez otwarcie możliwości takiego działania, które w systemach totalitarnych są niezwykle ograniczone.

Przechodząc od razu do społecznego ruchu naukowego, czyli obywatelskiego społeczeństwa w obszarze nauki, zwracam uwagę na wieloletnie, nieskuteczne próby utworzenia odpowiedniego prawa o towarzystwach naukowych. I to mimo uporczywych starań ze strony środowiska naukowego. Wspomnę inicjatywę Płockiego Towarzystwa Naukowego (prof. Zbigniew Kruszewski) sprzed ćwierć wieku, potem popierane przez inne towarzystwa oraz Akademię Nauk, która wzięła na siebie kolejne fazy tych starań poprzez swoją Radę Towarzystw Naukowych. Wielokrotnie uczestniczyłem w tych akcjach, wspólnie z profesorami Kruszewskim i Kleiberem. Bywaliśmy miło przyjmowani w Sejmie i w Senacie, kilkakrotnie zdawało się, że sukces jest tuż, tuż, ale w końcu przegrywaliśmy, gdy decyzja zależała od władz ministerialnych. Czyli sektor publiczny nie był (i nadal nie jest) zainteresowany postępem w tym zakresie. Uważam to za poważny błąd polityczny i strategiczny. Starania towarzystw nie zmierzały do uzyskania państwowych dotacji. Jedyne fragmenty proponowanych rozwiązań ustawowych, mających wymiar finansowy, to danie możliwości władzom samorządowym dofinansowania potrzebnych im działań poprzez zlecenie ich lokalnym towarzystwom. Podkreślam, możliwości, nie obowiązku. I to się nie udało...

Towarzystwo Naukowe Warszawskie jest kontynuatorem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, powstałego w 1800 roku i niezwykle zasłużonego dla Kraju. Nie mam tu miejsca na wymienianie osiągnięć, ale kopalnie węgla w Polsce czy Kanał Augustowski, obok doniosłych opracowań z zakresu humanistyki, jednak wspomnę. To była działalność obywatelska, oparta o fundusze prywatne. Po II wojnie światowej wszystko upaństwowiono, więc towarzystwa straciły mecenat prywatny i, by funkcjonować, musiały opierać się na dotacjach państwowych. Utworzenie Polskiej Akademii Nauk miało uporządkować także tę kwestię. Jednak zadbano, by nie podtrzymywać jakiegokolwiek formy działalności od państwa niezależnej, w tym obywatelskiej. Rozważano nawet likwidację towarzystw. W końcu Akademii Nauk powierzono funkcję mecenasa i kontrolera społecznego ruchu naukowego, i tak to działało

przez kilkadziesiąt lat. Towarzystwa ogólne, w tym zwłaszcza TNW, zamrożono, pozwolono na działalność towarzystw specjalistycznych. Dopiero po latach udało się „odmrozić” TNW. W 1981 roku grono żyjących jeszcze członków doprowadziło do restytucji Towarzystwa i rozpoczęło współczesną nam jego historię. Niezwykle osiągnięcie, skutek nadzwyczajnego poświęcenia grupy uczonych z profesorem Wiktorem Kemulą na czele jako pierwszym prezesem od wznowienia działalności TNW.

Zmiana systemu gospodarczego Kraju doprowadziła do stopniowej likwidacji mecenatu państwowego, bez równoczesnego utworzenia mecenatu prywatnego. Towarzystwa muszą sobie radzić same. TNW jest w szczególnie trudnym położeniu pod tym względem. Z powodu całkowitej utraty wszelkich własności w 1954 roku, przejętych przez Akademię Nauk. To nie tylko straty materialne, bo PAN, obawiając się roszczeń ze strony restytuowanego Towarzystwa, zajmowała wobec nas stanowisko z zasady negatywne. Na ogół bezpodstawnie, czego jednak nie uzasadniam tutaj z braku miejsca. Stopniowo likwidowano także ministerialne formy dofinansowania, i tak zresztą szczątkowe. Ale niezbędne dla prowadzenia działalności wydawniczej czy popularyzatorskiej. TNW podtrzymało te formy aktywności dzięki znakomitej współpracy z Kasą im. Mianowskiego (prof. L. Zasztowt), z którą od lat ma ściśle więzi kooperacyjne, a także w rezultacie rozmaitych form działania przynoszących pewne dochody. Ale to jest sytuacja daleka od prawidłowej, wymaga uregulowań prawnych i, przede wszystkim, należytego docenienia przez władze państwowe. Bo to jest przecież znakomity interes! Społecznicy z towarzystw naukowych nie pobierają wynagrodzeń, ich działalność jest, z reguły, na wysokim poziomie naukowym, więc czemu z tego nie skorzystać?

Przypomnę encyklopedyczną definicję: Organizacje pozarządowe bywają nazywane **trzecim sektorem**, obok sektora *publicznego* (władz, administracji publicznej) i *rynkowego* (przedsiębiorców). Organizacje pozarządowe – w odróżnieniu od organów publicznych, a podobnie jak przedsiębiorcy – są prywatne i powstają z inicjatywy ich założycieli (prywatnych osób), ale – w odróżnieniu od przedsiębiorstw, a podobnie jak władze publiczne – działają w interesie publicznym, a nie prywatnym.

Mamy zatem w Kraju paradoksalną sytuację: system uwolniony od totalitaryzmów, lecz niemożliwiający rozwój obywatelskich inicjatyw (w nauce, tego dotyczy ten tekst). Czy to się uda zmienić? Na to pytanie nie mam odpowiedzi, tylko nadzieję na pozytywne efekty państwowej ewolucji w tym zakresie.

W następnej części pokrótce opiszę relacje TNW-PAN w powyższym kontekście, jako podstawę do przyszłej polityki społecznej w nauce.

JANUSZ LIPKOWSKI

Wydział Matematyczno-Przyrodniczy
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego

¹ Trzeci po sektorach publicznym (władze, administracja) i rynkowym (przedsiębiorstwa).





Królewscy trefnisi

Trudno nie zauważyć, że dzisiejszy świat wydaje się znużony demokracją i coraz więcej ludzi akceptuje takie lub inne formy władzy autorytarnej, która „wreszcie zaprowadzi porządek, zlikwiduje korupcję i wymierzy sprawiedliwość”. Zwolennicy demokracji próbują stawiać opór, ale wynik walki niepewny, tym bardziej że wiatr historii (zwłaszcza z bliższego i dalekiego Wschodu) wydaje się – przynajmniej chwilowo – sprzyjać autokratom.

Nie jest to, rzecz jasna, nic nowego. W końcu przez większość dziejów ludzie żyli pod panowaniem książąt, królów lub cesarzy i nikt nawet nie wyobrażał sobie, że możliwa jest jakaś istotna zmiana. Aby jakoś sobie z tym radzić, wypracowano przez wieki szereg metod, które chociaż w części chroniły przed kapryśkami władcy i „szaleństwem cesarów”.

Jednym ze sposobów było utworzenie stanowiska błazna, którego celem było uchronienie władcy przed zawrotem głowy od sukcesów, co – jak wiadomo – jest pierwszym krokiem do upadku. Błazen miał za zadanie złośliwie i błyskotliwie komentować pomysły i decyzje władcy. Musiał być oczywiście człowiekiem bardzo inteligentnym, z dużym poczuciem humoru, aby umiejętnie zabawiać władcę, ale też aby właściwie ocenić jak daleko może się posunąć w swoich złośliwościach. Toteż niejednokrotnie błazen bywał mądrzejszy i bardziej przenikliwy niż władca. W naszej historii zapisał się mądry Stańczyk, którego wszyscy znamy, choćby z obrazów Matejki. Niestety, nie wszystkie jego rady zostały wzięte poważnie, czego konsekwencje ponosimy do dziś.

Stanowisko błazna było niezwykle wpływowe, bo umożliwiało niemal stały, bezpośredni dostęp do władcy. A ponieważ błazen, z definicji, nie należał do elity władzy (wręcz przeciwnie, jego pozycja społeczna była bardzo niska), mógł zwrócić władcy uwagę na sprawy, o których zwykli dworzanie, a nawet dostojnicy państwowi, nie odważyli by się nawet pisać.

Błaznom, zwłaszcza inteligentnym, pozwalano na wiele, bo taki był sens tej funkcji. Trudno się więc dziwić, że kronikarze skrzętnie spisywali anegdoty opowiadające o najcelniejszych ripostach, dzięki czemu są one teraz dostępne również dla nas.

Spośród wielu, wybrałem dwie. Mam nadzieję, że nie wszyscy czytelnicy je znają. A nawet jeżeli znają, to warto przypomnieć.

Tribulet, błazen Franciszka I, tak zmęczył króla swoimi radami, że w pewnym momencie usłyszał: – Widzę, że we wszystkim masz się za mądrzejszego ode mnie. Może się zamienimy: ty zostaniesz królem, a ja błaznem.

Tribulet przez chwilę milczał, więc król zapytał złośliwie: – Czemu milczysz, wstydyłbyś się zostać królem? – Nie, wstydyłbym się mieć takiego błazna, brzmiała odpowiedź.

Tenże Tribulet, słysząc jak król ze swoimi doradcami rozważa, którą drogę wybrać w planowanej wyprawie do Włoch, komentuje: – Głupcy! Nie zastanawiajcie się jak tam dość, zastanawiajcie się jak wrócić! Miał rację: potem nastąpiła klęska Francuzów pod Pavią i niesławny odwrót.

O polskim Stańczyku, błaznie Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, też krążą opowieści (o głupocie wypuszczenia niedźwiedzia z klatki, czy o wysyłaniu sługi w świat z workiem pieńdzy), ale są na tyle znane, że nie będę ich przytaczał.

Zastanawiam się, czy nie należałoby znowu przywrócić stanowiska błazna. Dla społeczeństwa rządzonego autokratycznie byłaby to – jak dawniej – szansa uniknięcia najgorszych skutków dyktando. Ale przecież nie tylko autokraci, ale również demokratycznie wybrane władze bywają podatne na ataki gwałtownego uderzenia wody sodowej do głowy i chyba dobrze byłoby – dla nich i dla kraju – przypominać o tym niebezpieczeństwie częściej niż co cztery lata przy urnach wyborczych. W ustroju demokratycznym sprawa wymaga naturalnie dokładnego prze-myślenia.

Trzeba by rozważyć, którzy spośród państwowych dygnitarzy powinni mieć prawo/obowiązek zatrudniania błazna. Zapewne Prezydent i Premier oraz Marszałkowie Sejmu i Senatu, ale czy również np. szefowie najważniejszych partii politycznych?

Warto też zastanowić się nad długością kadencji błazna. Można związać ją z kadencją danego dygnitarskiego stanowiska, ale można też rozważyć długą, np. 10-letnią kadencję.

Aby zapewnić mu niezależność, błazen winien mieć zapewne status podobny do szefa Naczelnej Izby Kontroli lub Rzecznika Praw Obywatelskich, czyli być absolutnie nieusuwalny. Należy też rozważyć ograniczenie czasu sprawowania tej odpowiedzialnej funkcji przez jednego człowieka.

Pozostaje jeszcze trudny problem: kto winien powoływać błazna. Czy wybór zostawiamy wyłącznie „obsługiwanemu” dygnitarzowi, czy może jednak należy uregulować sprawę bardziej formalnie? Trzeba też rozstrzygnąć, czy do utworzenia tego stanowiska wystarczy zwykła ustawa przegłosowana przez parlament, czy może sprawa jest tak ważna, że lepiej zapisać ją w konstytucji?

Krytycy tego pomysłu powiedzą, że w ustroju demokratycznym rolę błaznów odgrywają satyrycy, którzy mogą swobodnie wyśmiewać i piętnować słabości władzy. Ale czym innym jest wyprowadzenie słabości dygnitarza na forum publiczne, a czym innym zwrócenie mu uwagi „w czterech ścianach” gabinetu, gdzie można być znacznie bardziej szczerym. Dlatego wydaje mi się, że utworzenie instytucji błazna byłoby jednak dużym krokiem naprzód ku poprawie obyczajów wśród elit władzy.

Nie orientuję się zbyt dobrze w strukturze Rządu, ani innych najwyższych urzędów w naszym państwie. Może nasi władcy pomyśleli już o tej możliwości i faktycznie większość z nich ma już – nieformalnie – swoich nadwornych błaznów. Jeżeli tak, to chyba nie zostali oni właściwie dobrani i należałoby sprawę lepiej uregulować. A może zachowują się jak błazen w jednej z anegdot zapisanych przez Chamforta, który miał powiedzieć: „Ciekawe jak to się dzieje, że koncepty przychodzą mi tylko na ludzi, którzy są akurat w niełasce”.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski, [† Andrzej Ziejka].

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotoskład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.